

Niewierzący

5 stycznia 2018

Ściernisko: jak było, tak jest. Kolejny Nowy Rok uzmysławia, że najmądrzejszą rzeczą jest porzucenie wszelkiej nadziei. Od prawie trzydziestu lat słyszę o tygrysie, zielonej wyspie i tym podobne opowieści. Co jakiś czas politykom choć na chwilę udawało się nawet złapać mnie na haczyk świetlanej przyszłości.

POWSZECHNY RENTIER

Na pewno nie wyszło to Wałęsie, gdy obiecywał każdemu po 100 milionów. Prędzej wierzyłem Balcerowiczowi i jego terapii szokowej, która miała się zakończyć Programem Powszechnej Prywatyzacji. Thatcherystowski kapitalizm ludowy miał osiągnąć każdego i spowodować, że wszyscy zostaną akcjonariuszami najszybciej śmigającej w górę gospodarki.

W drugiej połowie 1993 r. rozpoczęto realizację programu Narodowych Funduszy Inwestycyjnych. Wyznaczono zakłady państwowe przekształcone w jednoosobowe spółki skarbu państwa, których akcje lub udziały będą wniesione do funduszy, powołano Komisję Selekcyjną, ogłoszono przetarg na firmy zarządzające funduszami oraz konkurs na kandydatów do ich rad nadzorczych. Wyglądało to nader profesjonalnie. I mogło sprawiać wrażenie, że skończy się jak z akcjami Banku Śląskiego, które dały przy emisji zarobić kokosy.

A tu guzik z pętelką. Za świadectwa udziałowe trzeba było zapłacić, a potem szybko je sprzedać z niewielką przebitką, bo zamiast zyskiwać na wartości, zaczynał im się kończyć termin przydatności do użycia. Znaczy trzeba było założyć sobie konto maklerskie i zamienić świadectwa na akcje. Co z powodu zupełnej nieopłacalności było bez sensu. Dzięki masowej wyprzedaży przez ludność świadectwa wpadły w łapy tych, których miały wpaść, czyli banków i innych instytucji

finansowych. Kapitalizm ludowy można było wsadzić sobie w buty.

AUTOSTRADY

Ponieważ wraz z kapitalizmem ceny starych samochodów stały się niższe niż nowych rowerów, każdy rzucił się na własne cztery kółka. Tyle że mógł sobie pojeździć po mieście i okolicach, bo wszelka podróż przekraczająca 150 km była wyprawą idącą w wiele godzin. Czy zdziwi kogoś zatem, że człowiek dał się uwieść wizji przecinających Polskę wte i wewte autostrad?

„Program budowy autostrad” opracowano w Ministerstwie Transportu w drugiej połowie 1992 r. Przewidywano budowę trzech tras o długości 1961 km. Rząd Hanny Suchockiej przyjął program w lipcu 1993 r., a we wrześniu zwiększył długość planowanej sieci autostrad do 2571 km. W październiku 1994 r. Sejm i Senat niemal jednogłośnie to przyklepały. Prezydent podpisał. Zakrojona na 15 lat inwestycja miała przynieść Polsce tysiące kilometrów dróg o najwyższym standardzie europejskim. W tym czasie Hiszpanie położyli ponad 5 tys. km szybkich dwupasmówek. My nie. Polski rząd obudził się ze świadomością braku dróg, dopiero gdy UEFA przyznała Polsce i Ukrainie organizację mistrzostw w piłce nożnej. Efekt jest taki, że obecnie mogę skorzystać z 1627,3 km polskiej autostrady. Ale jeśli chcę śmignąć z Warszawy nad morze, to muszę popieprzać do Łodzi. Są jednak przecież i trasy ekspresowe – niemal drugie tyle, co autostrad. Jednak gdybyście przejechać się szybką dwupasmówką ze stolicy do Trójmiasta, to trzeba jeszcze odczekać kilka lat, aż komunikacyjna cywilizacja dotrze do Mławy. Tak samo zresztą z trasą do Krakowa, bo jakoś nikt nie wpadł na to, żeby to miasto połączyć z resztą kraju.

Po ponad ćwierćwieczu czekania na dobre drogi wiem, że z powodu zbliżania się do średniego okresu życia Polaka – nie doczekam.

ŚWIATOWE ZAROBKI

Gdy premierem był Oleksy, GUS wykazywał wzrost PKB na poziomie 7 proc. rocznie. W ślad za tym miały iść zarobki. Ekonomiści rysowali wykresy i z każdego wychodziło, że za 25 lat dościgniemy w płacach Niemcy, a nawet, gdyby coś się rypnęło, to po tym czasie na pewno będziemy dostawać za pracę więcej niż robotnicy w Grecji czy Portugalii.

Ćwierć wieku od tamtej pory minie zaraz. Niemiecki pracownik może dziś liczyć na blisko 4-krotnie wyższe średnie wynagrodzenie niż zarabiający w Polsce. Analitycy twierdzą, że jeżeli nadal tempo wzrostu wynagrodzeń u nas i za Odrą będzie takie, jak w ostatnich dekadach, to Niemców dościgniemy za nieco ponad 83 lata. Ale za to Portugalczyków i Greków jeszcze przed rokiem 2050.

W 1989 r. Korea Południowa była na polskiej liście celnej krajem, który miał z powodu biedy najniższe taryfy przywozowe. Zarobki w tym rozwijającym się kraju urągały standardom nawet wschodnioeuropejskim. Najniższe wynagrodzenie było tam wówczas na poziomie ok. 50 centów amerykańskich za godzinę. Dziś minimalna stawka wynagrodzenia tam to 7530 wonów, czyli 24,48 zł za godzinę. U nas 13,70 zł, a i to tylko na umowę zlecenie. Np. przy lutowaniu lub skręcaniu produktu w polskiej montowni któregoś z południowokoreańskich koncernów.

PALMY

Jerzy Buzek został premierem i obiecał, iż zrobi tak, że polscy emeryci będą spędzali starość pod palmami. Wprowadził zasadę, że po latach dostanie się tyle, ile się odłoży na emeryturę plus to, co te składki jeszcze na emeryta zarobią. Nie same jednak, ale dzięki najlepszym na świecie fachowcom od pomnażania pieniędzy. Fachowcy ci pracować mieli w Otwartych Funduszach Emerytalnych. Firmach prywatnych, do których przelewano część składki na starość. Pomnażanie kasy jakoś OFE nie szło, w przeciwieństwie do zarobków zatrudnionych tam

fachowców. Buzek wykoncypował bowiem, że za ciężką pracę w inwestowaniu fundusze mogą pobierać 10 proc. szmalu wpłacanego przez przyszłych emerytów. OFE szybko okazały się ekspozyturami banków i instytucji finansowych. Ich zyski kapitałowe były jednak niższe niż zakładano, a na dodatek dzięki wyprowadzaniu szmalu do nich ZUS przestał się spinać i z budżetu zaczęto doń dokładać ciężkie miliardy. Wkurzyło to nader liberalny rząd Tuska, który postanowił z tym złodziejstwem skończyć. No to skończył, ale tylko na 80 proc. OFE wciąż zatem żyją.

Zaś emerytura pod palmami wbrew pozorom wcale nie okazała się mitem. Dzięki temu, że osoby przechodzące na emeryturę dostają z reguły niecałą połowę ostatniego wynagrodzenia, to żeby z tego żyć, powinny osiedlić się w kraju, w którym mając kilkaset dolarów, będą dla miejscowych uchodzili za milionerów. Na naszych weteranów pracy czeka zatem Ameryka Południowa i Afryka.

Na tysiące takich jak ja, od dwudziestu lat pracujących na „umowę o dzieło” – z racji braku widoków na jakąkolwiek emeryturę – nikt nie czeka.

MIESZKANIA

Od początku kapitalizmu każdy rząd za punkt honoru przyjmował strategię budownictwa mieszkaniowego. Wszystkie one sprowadzały się jednak do jednego – dawania ulg deweloperom, albo dzięki bonifikatom naganianiu ludzi do banków po kredyty hipoteczne. Budownictwo socjalne lub komunalne zdechło, a na dodatek zostało pozostawione samorządom. Skądinąd niemającym na to pieniędzy.

Bankom i deweloperom taki układ się podobał, zatem niewolników kredytu hipotecznego przybywało. I nawet gdy kogoś na kredyt z powodu zarobków nie było stać, to dzięki pomocowym programom państwa i pomysłowi udzielania kredytów w złotówkach denominowanych w dowolnej walucie sektory finansowy i

budowlany rosły w siłę.

Choć i tak w porównaniu z Hiszpanią, czyli krajem podobnym do Polski, to gównie. W latach 90. powstawało tam przeciętnie 200-250 tys. nowych mieszkań rocznie. I to przy bezrobociu równie wysokim jak u nas. Ba, w 2001 r. powstało tam 416 tys. mieszkań; wydano pozwolenia na budowę ponad 500 tys. kolejnych.

U nas mimo „Rodziny na swoim”, „Mieszkania dla młodych” czy innych bzdetów oddawano najwyżej 100 tys. mieszkań rocznie.

Gdy w 2005 r. PiS szło po władzę pod hasłem budowy trzech milionów mieszkań, to akurat na ten lep nie złowił prawie nikogo. Pewnie dlatego, że przez atak spekulacyjny na złotego kredyty frankowe były niemal darmowe i dla każdego. Rządowi to wcale nie przeszkadzało. Dzięki boomowi na kredyty i 2-milionowej emigracji głód mieszkań przestał mieć znaczenie polityczne.

Po tamtych czasach i rozwodzie, wynajmując zupełnie inne mieszkanie, mam do spłacenia więcej złotych niż brałem na chałupę, w której teraz mieszka była żona.

EURO

Latem 2008 r. pracowałem dla wydawnictwa, które rozliczało się z innymi krajami europejskimi. Przy zatwierdzaniu każdego przelewu transgranicznego bolało, gdy człowiek orientował się, jaką kwotę w formie haraczu zwanego spreadem zarabia bank. Dlatego gdy Tusk ogłosił, że w 2011 r. będziemy mieli euro zamiast złotych, wziąłem to za nader dobrą monetę. Niepotrzebnie. Tydzień po tych słowach upadł bank Lehman Brothers. A po nim jebnęło wszystko.

Gdy w grudniu 2009 r. tenże sam Tusk mówił, że nowa waluta będzie w 2015 r., nie brałem już tego poważnie.

Od tej pory poza wkurzeniem, że muszę płacić za

przewalutowanie, żadnego sentymentu w tej sprawie już nie mam. Zaś opowieści Morawieckiego, że „Polska powinna poczekać nawet dekadę, aż nasza gospodarka zbliży się poziomem rozwoju do krajów Zachodu”, wkładam między miliony nic nieznaczących wypowiedzi polityków. Szczególnie takich, którzy przecież uważają, że przyjęcie przez nas euro to utrata sporego skrawka jakże cennej PiS suwerenności.

MELDUNKOWE ŁUPKI

Do dziś nie jestem w stanie powiedzieć, o co chodziło amerykańskim agencjom rządowym, które ogłosiły Polskę największym w Europie zagłębieniem łupkowym. Jednak mówienie, że Polska na braku gazu z łupków źle wyszła, też prawdziwe nie jest. Jako państwo zarobiliśmy. Wszystkie międzynarodowe firmy, usiłujące załapać się na złoża węglowodorów, płaciły jak za zboże za koncesje na poszukiwanie, za transport, hotele i nawet polski personel.

Na łupkach zrobiliśmy o niebo lepszy interes niż na planowanym pisowskim lotnisku za 30 mld zł, które będzie budowane przez Chińczyków. Bo to nie oni będą płacili za hotele, pracowników i projekty.

Chcę wierzyć, że hub spod Łodzi będzie jak obiecywane od lat zniesienie obowiązku meldunkowego. Miało go nie być już w 2011 r. Ustawa określiła termin na 2014 r. Potem na 2016 r. By w końcu usłyszeć od Błaszczaka, że meldować mamy się do usranej śmierci.

Autorstwo: Tadeusz Jasiński

Źródło: Nie.com.pl